

Posłowie chcą, żeby nazwy wszystkich miast przygranicznych na polskich znakach, pisane były po polsku. Praha ma być Pragą, Lviv – Lwowem, Leipzig – Lipskiem. Wszystko za „jedyne” 27 mln zł. – Za te pieniądze można wybudować 50 km chodników albo ścieżek rowerowych – mówi money.pl Michał Beim, ekspert Instytutu Sobieskiego.

Zgodnie z projektem posłów Kukiz’15 na wszystkich znakach drogowych nazwy zagranicznych miast mają być pisane po polsku. Projekt rozporządzenia zyskał już poparcie Ministerstwa Infrastruktury i Budownictwa.

Jak czytamy w dokumencie: „W przypadku, gdy na tablicach przeddrogowskazowych i drogowskazach tablicowych jest podawana nazwa dużego miasta sąsiedniego państwa, do którego prowadzi droga, nazwę tę podaje się w języku polskim oraz w języku oryginalnym (...) nazwy te umieszcza się w jednej wierszu, z tym że nazwa oryginalna jest umieszczona w nawiasie”.

Zatem dotychczasowa Praha zostanie zastąpiona na wszystkich polskich znakach drogowych przez zapis: Praga (Praha). W projekcie policzono też szacunkowe koszty. W sumie cała operacja kosztować ma 27 mln zł. W ocenach skutków napisano też, że z szacunków wynika, że do wymiany będzie około 400 tablic. Uśredniając – będzie to więc po około 67 tys. zł za jedną.

Jedno takie oznaczenia wraz z montażem kosztuje tyle co nowy samochód. Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że wyliczenia dotyczą jedynie tablic, które mieszczą się na drogach zarządzanych przez GDDKiA. W projekcie nie policzono kosztów, które poniosą samorządy, do których należy przecież ponad 90 proc. dróg w Polsce. O to, ile one za to zapłacą, zapytaliśmy resort, ale do czasu opublikowania tego artykułu nie otrzymaliśmy jeszcze odpowiedzi.

[mc4wp_form id="84"]

Wszystkie tablice mają zostać wymienione do 1 stycznia 2022 r. W uzasadnieniu autorzy powołują się na fakt, że Polska jest stroną wiedeńskiej Konwencji o znakach i sygnałach drogowych, gdzie zaleca się taki właśnie zapis. Rzecz jednak w tym, że podpisaliśmy ją... w 1968r.

Dlaczego więc dopiero teraz politycy dostrzegli ten problem? – Patrząc na to, kto jest autorem projektu, czyli Kukiz’15, można tu doszukiwać się bardziej intencji związanych z dumą narodową i narracją polityczną, dotyczącą polskości i jej

rozumienia – ocenia Adrian Furgalski, ekspert Zespołu Doradców Gospodarczych TOR.

Drugi z naszych rozmówców jest zdania, że lepiej późno coś załatwić niż wcale, choć ma jednak pewne wątpliwości co do ważności problemu. – Konwencje międzynarodowe są obowiązujące, to fakt. Pozostaje tylko pytanie o celowość ponoszenia tych kosztów tylko z tego powodu. Można przecież wymieniać te tablice systematycznie, kiedy zostaną zniszczone, albo montowane przy nowobudowanych odcinkach – przekonuje Michał Beim.

W jego ocenie zajmie to trochę więcej czasu niż do 2022 r., ale przecież cel ostatecznie zostanie osiągnięty. Tymczasem, jego zdaniem, potrzeby wszystkich użytkowników dróg są zgoła inne. Szczególnie, że znów po kilku latach lepszych statystyk, zwiększa się liczba wypadków i ofiar śmiertelnych na drogach.

– Za te pieniądze można wybudować 50 km chodników albo ścieżek rowerowych. Tak żeby np. dzieci mogły bezpiecznie iść nimi do szkoły – mówi Beim.

Adrian Furgalski uważa jednak, że koszty całej operacji nie są na tyle wysokie, by tego jednak nie zrobić do 2022 r. – Na szczęście ma to być ewolucja, a nie rewolucja, kiedy daje się na zmiany kilka miesięcy. Ponadto dla polskich kierowców, to zmiana na lepsze. Wojny z sąsiadami o te znaki też raczej nie będzie, bo przecież w Niemczech również jedzie się na Warschau, a nie na Warszawę – dodaje Furgalski.

Ekspert wykorzystałby też tę okazję do innych zmian oznakowania. Szczególnie na drogach o lepszych parametrach jak autostrady i ekspresówki, gdzie ciągle mamy z tym poważne kłopoty. – Jesteśmy na etapie różnych oznakowań i niekończących się eksperymentów. Wiele tablic stwarza po prostu zagrożenie, informując o zjazdach zbyt późno i potem kierowcy cofają na autostradach czy nawet jadą pod prąd – mówi ekspert TOR.

Dla Michała Beima bałagan ze znakami i drogowskazami przy polskich drogach pokazuje tylko, jak bardzo skomplikowaliśmy przepisy o ruchu drogowym w ostatnim czasie. Dlatego jego zdaniem te miliony, czas, energię, którą teraz przeznaczymy na zmiany pisowni, lepiej byłoby przekuć w projekty, które bezpośrednio poprawią bezpieczeństwo.

– W Polsce bałagan legislacyjny najlepiej pokazują znaki przy granicy państwowej, które wskazują ograniczenia prędkości w naszym kraju. Jest mnogość wielu opcji w

zależności od koloru znaku, pory dnia, czy kategorii drogi. To dość dużych rozmiarów tabela, w której łatwo się zgubić. Tymczasem np. w Niemczech czy Francji rzecz jest prosta. Są tylko trzy ograniczenia prędkości: w mieście, poza miastem i na autostradzie – mówi ekspert Instytutu Sobieskiego.

Źródło: Money. [Czytaj dalej...](#)